

POLSKA AGENCJA PRASOWA POLISH PRESS AGENCY
38. WILTON CRESCENT, S.W.1 TEL SLOANE 2214, 2215

B I U L E T Y N   P R A S O W Y.

P.O.BOX.60, LONDON S.W.1. Londyn, dnia 15 czerwca 1945.
Rok XII. Nr.4.
[13]

/Światpol/.

ODBUDOWA ZNISZCZONEJ POLSKI KOSZTEM NIEMIEC.

Zakończona niedawno wojna w Europie pociągnęła za sobą dla wielu krajów straty, dorównujące wprost kataklizmom. Ziemie po przez które przesunął się walec wojny, przedstawiają niebywały obraz zniszczenia: znikło z ich powierzchni wiele miast i wsi, zginęły setki tysięcy cywilnej ludności. Straty te są tak wielkie, że jest prawie niemożliwym ocenić je w przeliczeniu na pieniądze. Olbrzymie straty poniosły Belgia, Rosja, Francja, największe jednak ze wszystkich poniosła Polska. Jej straty bowiem, to nie tylko zniszczenia, będące wynikiem bezpośrednich działań wojennych, ale także - a może nawet przede wszystkim - straty spowodowane celowo i metodycznie przez okupanta niemieckiego. Postawił on sobie za zadanie całkowite wyniszczenie gospodarcze Kraju, oraz kompletną eksterminację polskiego Narodu. Ziemie polskie miały stworzyć dla Niemców "Lebensraum", ową przestrzeń, którą mogliby oni zająć dla siebie. Stąd niemiecka okupacja stała się dalszym ciągiem zbrojnej walki, zapoczątkowanej agresją w r.1939; w ciągu pięciu lat okupacji Polska poniosła znacznie większe straty, aniżeli w czasie kampanii wrześniowej.

Szkody wyrządzone Polsce przez Niemcy dotyczą strat ludnościowych, osłabienie sił biologicznych Narodu, strat materialnych, niszczenia majątku prywatnego i społecznego, a także strat kulturalnych.

Straty ludnościowe wyrażają się w wyniszczeniu ponad 4 milionów osób ludności dorosłej. Z tej liczby zginęło na polach bitew zaledwie 150 tysięcy, reszta natomiast została wymordowana w obozach koncentracyjnych, w ghettach, akcjach "pacyfikacyjnych", ekspedycjach karnych, masowych egzekucjach. Nie uwzględniam w powyższej liczbie półtora miliona żołnierzy polskich znajdujących się w niewoli niemieckiej i półtora miliona robotników polskich wywiezionych do Niemiec na przymusowe roboty.

Straty biologiczne nie dadzą się ująć w ścisłe cyfry; źródłem ich, to: rozbicie życia rodzinnego wskutek działań wojennych i celowej akcji niemieckiej w tym zakresie, zakaz dla ludności ziem zachodnich wstępowania w związki małżeńskie Polkom do lat 26-ściu i Polakom do lat 30-tu /a więc w wieku największej płodności/; sterylizacja młodzieży polskiej praktykowana przez Niemców w pierwszym okresie okupacji Polski; wyniszczenie fizyczne ludności: przez więzienie w obozach koncentracyjnych i więzieniach; metodyczne głodzenie zajętych ziem nieustannymi rekwizycjami żywności i szerzeniem się epidemii na skutek głodu, zimna, braku dostatecznej opieki lekarskiej i środków medycznych. W rezultacie ilość urodzin spadła do nienotowanych w Polsce rozmiarów i nastąpił niebywały wzrost śmiertelności wśród noworodków. Wiele, bardzo wiele lat upłynie, nim Naród Polski odzyska swą dawną siłę biologiczną.

Straty w dochodzie osobistym wskutek wytępienia ponad 4 milionów polskiej ludności, straty w dochodzie społecznym spowodowane

rabunkową gospodarką niemiecką i grabieżą majątku Polski, oblicza się na ca 100 miliardów złotych, czyli 4 miliardy funtów angielskich. Niemcy, nie licząc się z żadnymi względami, trzebili lasy bezlitośnie, zniszczyli całe gałęzie przemysłu, handlu i rzemiosła, wysiedlali i wywłaszczali ludność z ich majątków ruchomych i nieruchomych, zdewastowali majątek instytucyj komunikacyjnych i transportowych, zdezorganizowali gospodarkę rolną i hodowlaną. Po wojnie życie gospodarcze Polski trzeba będzie wznosić od początku; nie małą pozycją w tej dziedzinie będą jej potrzeby budowlane; tutaj na plan pierwszy wysuwa się konieczność odbudowy Warszawy, prawie całkowicie zniszczonej. Stolica Polski, w czasie Powstania Warszawskiego została przez Niemców zburzona i zamieniona w kupę gruzów; liczyła ona przed wojną 1 milion 250 tysięcy mieszkańców, obecnie pozostało zaledwie 300 tysięcy, które z braku pomieszczeń będą usunięte w głąb Kraju. Według prowizorycznych obliczeń koszt jej odbudowy wyniesie ca 212 milionów funtów angielskich.

Wreszcie straty kulturalne. Niemcy wymordowali znaczną część profesorów uniwersyteckich i naukowców polskich, co wybitniejszych muzyków, pisarzy i literatów, artystów i malarzy; spalili lub wywieźli do Reichu najcenniejsze księgozbiory, muzea i dzieła sztuki, nie oszczędzając nawet zbiorów prywatnych.

Za wyrządzone szkody Niemcy zapłacą. Cały naród niemiecki będzie musiał odbudowywać zniszczone miasta i przemysł polski i wyrównywać swymi dobrami kulturalnymi zadane Polsce straty w tej dziedzinie.

Wydawałoby się słuszne, aby Alianci jasno postawili sprawę zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za szkody materialne i moralne wyrządzone innym narodom; aby naród niemiecki wiedział, że własnymi rękoma i własnym kosztem będzie musiał odbudowywać nie tylko zniszczone ziemie rosyjskie, lecz również polskie, francuskie, belgijskie i tych wszystkich krajów, które Niemcy doprowadziły do ruiny; w pierwszym zaś rzędzie Polskę, która została zniszczona przez nie ponad miarę normalnych działań wojennych. Na ruinach miast i osiedli polskich powstaną nowe miasta polskie, wzniesione rękami niemieckiej ludności i kosztem niemieckiego majątku.-

Kazimierz Żakowski.

/Światpol/.

WSCHODNI SYSTEM "TAJNOŚCI" WYBORÓW.

Według ostatnich informacyj nadeszłych ze Szwecji, komitet lubelski, a ściślej mówiąc NKWD, przygotowują w Kraju wybory. Przygotowania do wyborów okryte są ścisłą tajemnicą, a termin wyborów ma być ujawniony dopiero w ostatniej chwili.

Zdaniem Sowietów i ich lubelskich agentów ta tajemniczość ma być uważana ze spełnienie jednego z demokratycznych wymogów, mianowicie zasady tajności wyborów. Zachodowi powie się, że wybory były tajne. Że tajne inaczej, niż rozumie to słowo Zachód - to cóż to szkodzi, tym bardziej, że i tak na terytorium Polski nie ma żadnych obserwatorów zagranicznych.

Mimowoli przypomina się anegdota z czasów byłej monarchii austriacko-węgierskiej: Do urny wyborczej w jednym z krajów koronnych monarchii przychodzi obywatel, by oddać swój głos. Przewodniczący komisji wyborczej sprawdza jego dokumenty, odkreśla nazwisko na liście wyborców, bierze z szuflady kopertę i rzuca ją do urny. Obywatel patrzy na to i stoi w dalszym ciągu.

- Na cóż jeszcze czekasz ? - pyta przewodniczący komisji wyborczej.
- Chcę głosować.
- Nie widziałeś, że właśnie wrzuciłem do urny twój głos?
- Hm, chciałbym przynajmniej wiedzieć na kogo głosowałem.
- Cóż to, nie wiesz, że wybory są tajne ? - kończy przewodniczący.

Tak mniej więcej będą wyglądały okryte tajemnicą lubelskie wybory w Polsce. Może w pewnych okręgach zastosowany zostanie także hitlerowski system jawności wyborów. Przy tym systemie znowu wszyscy wyborcy gremialnie udają się do lokalu wyborczego i jawnie oddają swe głosy na kandydatów wysuniętych przez komitet lubelski. Gdyby ktokolwiek spróbował sprzeciwić się, lub pozwolił sobie na jakąś

uwagę, zapoznałby się niewątpliwie z klimatem w Kałymie, lub w republice Komi.

Takimi metodami przeprowadzane wybory/nie będą oczywiście wyborami demokratycznymi, natomiast przejawem faszyzmu, który należy zniszczyć, byłoby domaganie się jakichś cztero, czy pięcio przymiotnikowych wyborów na wzór aktu wyborczego w państwach zachodnich, zwanych przed wojną demokratycznymi.

Jeśli chodzi o doświadczenia wyborcze pod nadzorem NKWD. mamy pewne doświadczenia w tym względzie z okresu pierwszej okupacji części Polski przez Sowiety w 1939r. Zgodnie z tymi doświadczeniami oczekiwać należy, że Lublin ogłosi listę kandydatów nadesłaną z Moskwy i innych list nie będzie. Wybrani być mają w drodze wyżej opisanego tajnego lub jawnego głosowania ci właściwie kandydaci i żadnych innych się nie dopuszcza. To, że będą to osoby nikomu nieznane nie pada wogóle na wagę. Skład komitetu lubelskiego przed jego powstaniem był w Polsce przeważnie także nikomu nieznany.

Niewątpliwie będzie się mógł Lublin poszczycić także rekordową frekwencją wyborczą. I w tym względzie mamy doświadczenia. W 1939 r. w niektórych gminach komisje wyborcze sowieckie naliczyły aż 102 % głosów "za", przy absolutnym braku głosów "przeciw". Ale to są już tajniki nowoczesnej demokratycznej arytmetyki sowieckiej, niedostępnej dla faszystowskich mózgów zachodnich.

Prawo wyborcze przyznane będzie niewątpliwie, na wzór postanowień rządu czechosłowackiego, obywatelom, którzy ukończyli 18 rok życia.

Z tak przeprowadzonych wyborów wyjdzie ciało, które komitet lubelski nazwie oczywiście sejmem. W czasie spotkania Wielkiej Trójki w Jałcie postanowiono wprawdzie, że w Polsce ma powstać nowy rząd "Tymczasowy rząd zjednoczenia narodowego". Na razie wynikiem porozumienia krymskiego jest zerwanie umów na tematy polskie przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię z jednej i Sowiety z drugiej strony. To jest wynik, o którym świat wie. Wynik natomiast, o którym świat nie wie, czy też nie chce wiedzieć, jest bardziej tragiczny. Są to rządy terroru NKWD w okupowanej Polsce.

Moskwa mówi, że "rząd" p.Bieruta i Osóbki jest takim właśnie, jaki przewidywały postanowienia krymskie. Postanowienia te przewidywały przeprowadzenie w Polsce wolnych, demokratycznych wyborów.

O zamierzonych, a okrytych tajemnicą, wyborach lubelskich Moskwa powie także, że są one zgodne z postanowieniami jałtańskimi. Łącznie z p.Bierutem Kreml ogłosi, że sejm jaki wyjdzie z tych wyborów jest najdemokratyczniejszym wyrazem woli narodu i że wszystkie jego uchwały, łącznie z ewentualną uchwałą o włączeniu Polski do Związku Sowieckiego będą też wyrazem demokratycznej woli narodu "z łaski moskiewskiej".

Zapyta kto - a cóż opozycja ?

Opozycja oczywiście może w Polsce istnieć i znajdować swój wyraz, tylko jak powiedział na jednej z konferencyj prasowych w Moskwie p.Osóbka, "rząd" lubelski nie będzie w żadnej mierze tolerował żadnej opozycji w stosunku do polityki wewnętrznej i zagranicznej tego "rządu".- tkw.

/Światpol"/.

O POLITYKĘ WOBEC NIEMIEC.

Zwycięstwo zastało nas nieprzygotowanych na wiele rzeczy: poczynając od organizacji pomocy dla wygłodniałej Europy, aż po szeroki plan polityczny w odniesieniu do kontynentu. Na każdym kroku utykamy na rzeczach niezałatwionych i zawczasu nieprzemyślanych. Nie znaczy to, ażeby nie dokonano wielkich posunięć. Przeciwnie, trzeba uznać bezstronnie, że zważywszy na zniszczenie terenu niemieckiego oraz wyniszczenie sporych połaci Europy, Alianci nieraz dokonują cudów. Znaczy to tylko, że stopień zniszczenia przeszedł oczekiwania, że ogrom zadań wyrósł nam nad głowy i że nie mamy jeszcze wspólnych mianowników dla polityki wielkiej trójki czy wielkiej czwórki, /jeżeli Francja ma być czwartym państwem zainteresowanym w okupacji Rzeszy/.

Jednym z naczelnych kłopotów jest oczywiście zagadnienie niemieckie. Wiadomo było nie od dzisiaj, że będzie to sprawa wielce złożona i że może stać się ona przyczyną wielu sporów. Przyczyną sporów - albowiem samo zagadnienie okupacji przedstawia się nieco sztucznie. Przez to, że Rzeszę pokrajano na trzy sfery okupacyjne tworzy się możliwości wygrywania jednej strefy przeciwko drugiej. O takich możliwościach wie doskonale opinia niemiecka i będzie się ona starała grać na tych różnicach. Co więcej, już takie próby były podejmowane. Albowiem zabiegi spółki Doenitz nie były niczym innym, jak właśnie takim przedwczesnym a równocześnie z niemiecka bezczelnym graniem na możliwych różnicach między aliantami.

Od razu też incydent Doenitza i towarzyszy wywołał zarówno burzę ze strony opinii anglosaskiej, jak i reakcję ze strony Rosji. Oczywiście, możnaby sprzeczać się, że incydent ten nie był niczym poważnym, albowiem Moskwa ma nie od dzisiaj swoją kolekcję "wolnych Niemców" z generałem Seydlitzem na czele, ale spór taki będzie czysto teoretyczny. To, że Moskwa dokonuje takich czy innych zabiegów przy pomocy swoich Niemców spędzonych z rozmaitych klas - to jej sprawa. Nie widzimy powodu, ażeby naśladować tę grę. Próby Doenitza były ostrzeżeniem, a zdrowa reakcja opinii anglosaskiej była pożądana. Dowodziła ona bowiem, że opinia ta ubije jakiekolwiek zabiegi pobitych Niemców starających się wrócić do władzy - kuchennym wejściem.

Nie mniej sprawa okupacji Rzeszy i rządzenia terenem Niemiec pozostaje i będzie problemem na wiele lat. Jeżeli okupacja potrwa powiedzmy lat 10, to przez 10 lat istnieć będzie problem stosunków z podbitą Rzeszą. Przez cały ten czas istnieć będzie niebezpieczeństwo tworzenia się takich czy innych prądów w poszczególnych strefach, przeciągania danej strefy na swoją stronę i ruchów odśrodkowych czy - przeciwnie - scaleniowych. Jaką politykę zastosują Alianci - nie wiemy. Czy potrafią oni znaleźć wspólny język co do Rzeszy, czy też nie zgodzą się na wspólną akcję ? Albowiem nie chodzi tutaj o jeszcze jedną deklarację,ale o to, ażeby wspólna polityka była wykonywana i ażeby nie było żadnych podstępów ani też zakulisowej gry.

Jeżeli nie uda się wykluczyć tych elementów - to nie potrafimy całkowicie rozwiązać zagadnienia niemieckiego. Bo tylko zgodność czynów - a nie tylko deklaracji - może ten problem odpowiednio uzgodnić i zapewnić jego skuteczne rozwiązanie.-

Zbigniew Grabowski.

/"Światpol"./

SAMOLOT ZESTRZELONY NAD WARSZAWĄ .

Kapitan, którego nazwiemy w tym autentycznym opowiadaniu pseudonimem Morus, w 1944-tym roku odbył 18 lotów nad Polskę. Początkowo dostarczał on broń do placówek Armii Krajowej w różnych częściach Kraju, od pierwszego sierpnia zaś, to jest od dnia wybuchu Powstania Warszawskiego , zaczął latać nad Warszawę.

Loty do Polski należały do najcięższych i najtrudniejszych. Nie tylko trzeba było pokryć olbrzymią przestrzeń, nie tylko odnaleźć malutki punkcik, wyznaczony na mapie, gdzie żołnierze Armii Krajowej oczekiwali na zrzuty - ale trzeba było również uciekać lub staczać walki z nocnymi myśliwcami, lub też przedzierać się przez niebezpieczne strefy artylerii przeciwlotniczej.

- Każdy taki lot - opowiada kapitan Morus - to był w zasadzie wyścig ze śmiercią. Ogień artylerii przeciwlotniczej był znacznie mniej niebezpieczny, aniżeli Junkersy, które stosowały taktykę atakowania od dołu. Podczas moich lotów do Polski ani razu nie udało mi się wykręcić od tego nieprzyjemnego spotkania z Junkersami. W takich wypadkach staraliśmy się uciekać i zgubić napastnika, nie zawsze jednak to się udawało. Czasem trzeba było przyjmować walkę i odpędzać Niemca ogniem naszych karabinów maszynowych.

- Ponieważ Junkersy, jak już powiedziałem, atakowały od dołu - staraliśmy się latać na najniższej wysokości. Większą część lotu odbywaliśmy na wysokości pięćdziesięciu metrów nad ziemią. Niestety - na trasie była jedna, poważna przeszkoda - nasze piękne Tatry ! Ażeby przejść przez Tatry musieliśmy wejść na wysokość 7.000 stóp. Na ten moment nabierania wysokości czatowali zazwyczaj Niemcy. Jednym słowem - przez Tatry niejeden polski lotnik stracił życie.

- Gdy wybuchło Powstanie w Warszawie - opowiada dalej kapitan Morus -otrzymałem rozkaz zrzucenia zasobników z bronią i amunicją na Czerniakowie. Był to mój pierwszy lot do Warszawy, nic więc dziwnego, że wybierałem się na tę wyprawę ze zrozumiałym wzruszeniem. Droga do Warszawy znaczona była pożarami wsi i miasteczek na linii frontu rosyjsko-niemieckiego. Płonącą Warszawę zobaczyłem już z odległości 50-ciu kilometrów. Plac na Czerniakowie, gdzie miałem zrzucić zasobniki - trudno było odnaleźć, ze względu na kłęby dymu. Leciałem nieomal nad dachami domów, w aureoli ognia i pocisków niemieckiej broni maszynowej, która grzała do naszego samolotu z różnych punktów miasta. Znalazłem na szczęście mój plac i zasobniki poszły na dół. W trzy dni potem przyszedł meldunek, że wszystkie zostały odebrane przez Armię Krajową.

Po tym locie - przyszły następne. Warszawa paliła się bez przerwy, Junkersów na trasie było coraz więcej.

- W nocy z 16-go na 17-go sierpnia odbywałem mój ósmy z kolei lot nad Warszawę, a osiemnasty do Polski. Zrzuciłem zasobniki na oznaczony punkt i zawróciłem na południe. Do Nowego Korczyna leciałem lotem koszącym, tam jednak trzeba było zacząć wchodzić na wysokość, żeby przygotować się do przejścia Tatr. No i tam czekał na nas nasz Junkers...

- Nikt go nawet nie zauważył. Błysnęła mi jedynie w oczach smuga zielonego ognia. Był to zapewne pocisk rakietowy. Dostaliśmy ! Usłyszałem huk eksplozji, światło zgasło, stery przestały działać. Samolot zwalił się na łeb i w pice szedł w ziemię. Szybkość wzrastała. Wobec tego dałem rozkaz do skakania.

- Przede mną skakał radiotelegrafista. Skoczyłem za nim i szarpnąłem rączką spadochronu. Spadochron nie otworzył się. Przeleciałem w odległości 300-tu metrów od radiotelegrafisty, który spływał już na spadochronie. Widziałem najwyraźniej smugi pocisków, którymi ostrzelał go krążący Junkers.

- Wszystko to oczywiście trwało znacznie krócej, aniżeli to opowiadanie. Leciałem w dół, a spadochron nie działał. Przez głowę przelatywało tysiące myśli, najzupełniej chaotycznych i niepowiązanych ze sobą. Byłem jednak zupełnie przytomny i zdawałem sobie sprawę, że tylko sekundy dzielą mnie od śmierci.

- Los chciał jednak inaczej. Spadochron otworzył się i szarpnął mną mniej więcej na wysokości dwustu metrów nad ziemią. Była to jednak zbyt mała wysokość, to też uderzenie o ziemię było potężne. Kiedy odzyskałem przytomność - leżałem na wznak, na jakimś rżysku. Nie czułem na razie żadnego bólu, później jednak okazało się, że mam wybite zęby, pękniętą kość w nodze i naderwany, czy odbity żołądek.

- Wyjąłem rewolwer i zacząłem iść polem, w kierunku rysującego się w pobliżu lasu. Z oddali doleciało mnie szczekanie psów. Skierowałem się tam. Pod lasem spostrzegłem jakąś chałupę, gdzie ujadały psy.

- Musiałem długo stukać do okien i zapewniać, że jestem Polakiem, zanim wyszedł przed chatę jakiś chłop z sękatym kijem. Patrzył na mnie nieufnie, a zwłaszcza na mój dziwny ubiór - spadochron i Maewestkę. Wpuścił mnie jednak do chaty.

- Kiedy wreszcie zdołałem wytłumaczyć mu i jego żonie, że jestem lotnikiem i że właśnie przed chwilą spadłem z nieba - baba chwyciła mnie za ręce i zaniosła się płaczem :

-"...O mój Jezu, o Jezusiczku - - " - powtarzała.

- Zapytałem ich wobec tego o Armię Krajową. Początkowo zaczęli mnie zapewniać, że nie ma żadnej Armii Krajowej i że nic nie wiedzą - nieufność znowu zabłysła w ich oczach - ale w końcu chłop gdzieś pobiegł. Nie czekałem już długo. Po piętnastu minutach weszło do izby trzech brodaczy z rewolwerami gotowymi do strzału. Gdy pokazałem im legitymację - rewolwery schowali do kieszeni, a mnie zaczęli całować i ściskać. Byli to oficerowie Armii Krajowej. W kilka minut potem byłem już otoczony przez dwudziestu. Znalazła się kiełbasa, jajka, chleb i samogon, czyli "bimber". Zapomniałem wogóle o moich zębach, o bólu i zmęczeniu. Przegadałem z nimi pięć godzin, zanim ułożyli mnie do snu.

Nazajutrz odnalazła się reszta załogi. Radiotelegrafista nie żył. Ostrzelany przez Junkersa zginął jeszcze w powietrzu. Przypuszczam, że spotkałby mnie taki sam los, gdyby mój spadochron otworzył się wcześniej...

Wypadek jeden na milion wydarzył się natomiast z dwoma członkami załogi, którzy nie zdążyli wyskoczyć z samolotu. Po prostu pilot i tylny strzelec runęli na ziemię razem z samolotem.

W chwili, kiedy byli przekonani, że przenoszą się na tamten świat - w huku i trzasku łamiących się i rozpryskujących części samolotu - stwierdzili ze **zdumieniem** że żyją. Żyli naprawdę. Samolot, jak okazało się, spadł na stodołę, wypełnioną sianem po brzegi !

- To wszystko odbyło się w nocy z 16-go na 17-go sierpnia 1944 roku w Polsce. A dzisiaj, jak pan widzi - zakończył kapitan Morus jestem już w Londynie...!

Ryszard Kiersnowski.

/"Światpol"/.

Z I E M I A   Z   P O L S K I .

- Ta maszyna była w Polsce - powiedział Bolek, skończywszy objaśniać szczegóły wewnątrz kabiny pilota.

- Jakto - w Polsce ? - zapytałem, nie rozumiejąc, co przez to chce powiedzieć. Lądowaliście w Polsce ?

- Tak. Kilka miesięcy temu. W lecie. Na krótko przed tym zanim zaczęliśmy latać z bronią i amunicją nad Warszawę. Nasz nawigator, Lilijka - znasz go przecież ? - przywiózł wtedy cały worek ziemi z tego lądowiska w Polsce. Rozdrapali mu ją w ciągu paru minut. A przedtem wszyscy mówili, że Lilijka jest stentymentalny... Żebyś ich widział, jak się pchali do tej polskiej ziemi, kiedy przynieśliśmy ją do kantyny - no. Anglicy z początku myśleli, że to złoto. Złoto - z Polski, uważasz... Zobaczywszy ziemię, zwykłą, wilgotną ziemię - przypuszczali, że cały nasz dywizjon zwariował. A teraz - o spojrzyj - w każdej z naszych maszyn wisi taki woreczek z tą ziemią. Jako maskota: na szczęście. I to nasi angielscy koledzy, a także ci z dominiów zrozumieli od razu. Amerykanie także. Każda załoga, która była nad Warszawą ma grudkę tej ziemi w swojej maszynie. Inni zazdroszczą im tego wyróżnienia, i gdyby Lilijka chciał sprzedawać swoją ziemię na wagę złota, zrobiłby majątek. Wyobraź sobie, że proponowali mu taką tranzakcję. Naturalnie odmówił. I to z jakim fasonem. "Nie sprzedajemy - powiada - naszej ziemi ani wrogom, ani sprzymierzeńcom. Nasza ziemia - powiada - nie jest na sprzedaż. A wiecie - powiada - dlaczego ?" Nie wiedzieli naturalnie, bo im nikt jeszcze wyraźnie o tym nie powiedział. Więc Lilijka "sięgnął pamięcią" - jak to on mówi - do Władysława Bełzy i zadeklamował: "Ojców naszych ziemio święta, ziemio wielkich cnót i czynów. Tyś nawskroś jest przesiąknięta krwią ofiarną twoich synów"... A potem przetłomaczył im na angielski całą "Legendą o garści ziemi polskiej" : jak do Stolicy Apostolskiej przybyła delegacja z Polski prosić Papieża o relikwie, jak tym wysłannikom Papież powiedział, że "ziemia polska krwią się dymi i dość świętych kości chowa"; i o Żółkiewskim, rozumiesz, i o Tatrach, i o Szwedach, o kim chcesz... No i naturalnie, bardzo dramatycznie opisał scenę, jak to Papież wziął do ręki grudkę ziemi polskiej" i na dłoń mu się - o dziwo - kilka kropli krwi polało"... A potem zagrał Papieża. Ale jak. "Weźcie, mówi, proch ten z sobą, i cud boży głoście wszędzie. Niech ta ziemia wam ozdobą i relikwią świątyń będzie". Nie poznałbyś naszej skromnej Lilijki w tej nowej roli...

- A cóż na to Alianci ? - zapytałem zaciekawiony

- Gęby pootwierali, mówię ci. Nie wiem co na nich zrobiło większe wrażenie: wiersz, czy jego angielski przekład; Władysław Bełza, czy Lilijka. Dość, że się wzruszyli, jak jeszcze nigdy. Ci z pośród nich, którzy później latali zrzucać broń Warszawie, dostali po grudce tej ziemi. Eh, żebyś wiedział, jak dowódcy załóg brali je do ręki. Każdy z nich czekał, że krew z tej ziemi pocieknie, tak się przejęli. A Lilijka powiada: "Widzisz - mówi - krew jest w tej ziemi, tylko nie na każdą dłoń spływa". Niewiele brakowało, żeby został misjonarzem i zaczął ich na katolicyzm nawracać... Ale o Polsce to im godzinki opowiadał.

- I słuchali ?

- Słuchali. Jeszcze jak. Latali tam przecież, tak jak i my. Ginęli tak samo, jak ginęły nasze załogi. Robili, co mogli. Trzeba im przyznać, że się nie oszczędzali. I Polska i my mamy tu wśród nich najlepszych przyjaciół. Jak Warszawa padła i skończyło się

dostarczanie broni dla Armii Krajowej, to wszyscy - Amerykanie, Anglicy, Nowozelandczycy - no, wszyscy z tych dywizjonów specjalnych przez parę dni chodzili, jakby im kto gęby zamurował. Potem przyszedł rozkaz - zrzucać broń dla partyzantów; mniejsza o to, dla jakich: nie mogę ci powiedzieć, bo to tajemnica wojskowa. W każdym razie dla nas, Polaków nie było to zadanie najprzyjemniejsze, i tamci nie byli pewni, jak nasz dywizjon na to zareaguje. Naturalnie - rozkaz, to rozkaz: polecieliśmy bez gadania. I - wiesz, co ? - to dopiero zrobiło wrażenie. Naturalnie - też na sposób anglo-saski: nie było o tym mowy ani w messach, ani na lotnisku, tylko jak cię taki poklepał po ramieniu, toś czuł, z tydzień, a jak ścisnął za rękę, to świeczki w oczach stawały. My odwzajemnialiśmy się równie wymownie i tak rosła serdeczna, prawdziwa przyjaźń. Myśle, że można polegać na jej trwałości. Oni nas znają; my ich. Oni wiedzieli, że po będziemy się bili do końca po ich stronie; my wiedzieliśmy, że oni będą naszej stronie, jak przyjdzie do zawierania pokoju. A zaczęło się od tej legendy o cudzie z garścią polskiej ziemi. Dziś cudów nie ma. Ale ziemia - ziemia, rozumiesz - wciąż jest ta sama.-

Porucznik Herbert.

/"Światpol"/.

ROK NA ŚRÓDZIEMNOMORZU.

Po rocznej wędrówce po ciepłych morzach okręt Rzeczypospolitej Polskiej "Garland" zawinął do jednego z portów południowej Anglii.

Sławny to okręt. Niegdyś w służbie Jego Królewskiej Mości, Króla Anglii, z bogatym rodowodem, sięgającym na kilka stuleci wstecz, obecnie w służbie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej godnie przędzie pasmo tradycji kilkuwiekowej. Różnymi czasy różnie się określał: zależnie od wyporności i ilości dział na pokładzie. Raz był fregatą, innym razem korwetą, to znów transportowcem, ale zawsze pod banderą wojenną. Dziś jest kontrtorpedowcem pod biało-czerwonymi barwami ze zbrojnym ramieniem na czerwonym polu. Tym samym, pod którym pływały i walczyły okręty Zygmunta Trzeciego i Władysława Czwartego.

Kontrtorpedowiec - po angielsku destroyer - niszczyciel - w polskim języku wojskowym bardzoby mu odpowiadała nazwa "zagończyk". Pies gończy i myśliwy w jednej postaci. Ściga, węszy, ochrania i poluje, jak się zdarzy. Jak lekka chorągiew w dawnym polskim języku rycerskim. Nie ma dla niego trudnego terenu, nie ma złej pogody. Pewnie, że nie sprosta pancernikowi, jak chorągiew imci Pana Wołodyjowskiego nie mogła się mierzyć z chorągwiami pancernymi, ale przecież przed nimi nie tchórzyła i nieraz potrafiła opancerzonego wroga nadszarpnąć, albo i zgoła wykruszyć. Tak to i O.R.P. "Piorun", z tej samej rodziny, co "Garland", nie zawahał się uderzyć na "Bismarcka" i celnie go ugodzić, zanim potężny przeciwnik zdołał się opatrzeć. Dzisiejsza wojna morska jest wojną kontrtorpedowców, mówią niektórzy stretedzy morscy. Nie jest to stuprocentowa prawda. Ale w odniesieniu do Atlantyku można się na tę ocenę prawie zgodzić, gdyż potężne okręty liniowe Wielkiej Brytanii i Ameryki nie mają tu godnego przeciwnika. Inaczej jest na Pacyfiku.

Ale nie umniejszajmy chwały "Garlandowi", który na Pacyfiku nie był i nie wybiera się tam jeszcze. Tu, na Atlantyku i jego morzach O.R.P.Garland robi to, co do niego należy i robi dobrze. Wodzi więc konwoje, poluje na okręty podwodne, walczy z samolotami i bateriami brzegowymi nieprzyjaciela. I jak walczy ! Któż nie zna sławnego konwoju do Rosji - do Murmańska - hen za kołem biegunowym. Tak tam w zimnych wodach północnych spoczywa snem wiecznym 27 marynarzy polskich z załogi tego okrętu, poległych za czyjąś wolność. Czterdziestu marynarzy jest rannych. Większość dział unieruchomionych. Okręt podziurawiony bombami lotniczymi, słaniający się, opływający krwią własnych dzieci, goniący resztkami amunicji walczy nadal, budząc podziw i szacunek. Wtedy to O.R.P."Garland" zdobywa zaszczytne miano "very gallant ship" - bardzo dzielny okręt ! Nie ! Polska załoga nie uszczupliła sławy kilkusetletniej brytyjskiego ongiś - okrętu. I nie zeszła już z tego poziomu rycerskiego dostojeństwa. Admirałowie Jego Królewskiej Mości, Króla Anglii, oceniają walory Polskiej Marynarki. W konwojach, w patrolach, w zespołach równorzędnych okrętów sojuszniczych na polskich "Garlandzie" powiewa znak dowódcy zespołu. Dumni oficerowie Royal Navy nie uważają sobie za dyshonor słuchać rozkazów

polskiego dowódcy.
W rocznej twardej służbie, na ciepłych tym razem wodach, O.R.P. "Garland" przemierzał szlaki wodne z konwojami, ochraniając cenne ładunki płynące z różnych zakątków ziemi na pola walki w Europie. Przechodzi na drugą półkulę, dwukrotnie przepływając równik. Dociera do Ascension, małej wyspy na Południowym Atlantyku. Krąży u brzegów Zachodniej Afryki. Wodzi transporty z wojskiem do Południowej Europy. Jest u brzegów Francji w dniu, w którym rusza z południa natarcie na Jasny Brzeg. Osłania desanty na wyspy greckie i toruje im drogę ogniem swych dział. Zawija wielokrotnie do portów słonecznej Italii i Lewantu. Niszczy transporty morskie nieprzyjaciela. Bije się z lotnictwem i okrętami podwodnymi. Załoga okrętu pracuje niestrudzenie. Połowa jest chora. Rok bezustannej służby żłobi na ich twarzach niezatarte ślady. Choć nieraz ręce opadają ze znużenia i chciałoby się spocząć wygodnie pod dachem na stałym gruncie i zapomnieć o chwiejnym pokładzie pod nogami, to przecież świadomość, że się tu nie jest tylko takim ot sobie marynarzem, lecz, że się tu reprezentuje tę banderę, co powiewa na rufie, każe jeszcze raz zewrzeć się w sobie i jeszcze raz wytrzymać. Bo bandera ta znana jest na tych wodach. Bo już przed tym pod tą banderą na tym morzu zginął zaszczytnie O.R.P. "Kujawiak", walczył "Krakowiak", zdobywał ostrogi rycerskie "Ślązak", liczyły swoje zdobycze okręty podwodne "Sokół" i "Dzik". Załoga "Garlanda" wszystko to wie i ani ich, ani swojej sławy wojennej nie umniejszy. I nie umniejszyła, jeno przysporzyła.- M.S.

O DZIAŁALNOŚCI KULTURALNO-OŚWIATOWEJ Y.M.C.A. WŚRÓD INTERNOWANYCH POLSKICH W SZWAJCARII.

O działalność Y.M.C.A. wśród jeńców i internowanych można pisać długie rozdziały. Z pomocy kulturalnej tej organizacji korzystali jeńcy i internowani wszystkich narodowości, między innymi w dużej mierze Polacy. Y.M.C.A. była właściwie jedyną organizacją międzynarodową, która posiadała rozgałęzioną sieć swoich delegatur na terenie Niemiec, oraz siedzibę w Saganie. Delegaci Y.M.C.A. podobnie jak delegaci M.C.K. odwiedzali regularnie obozy jeńców, składając szczegółowe raporty dotyczące potrzeb jeńców poszczególnych narodowości. Będąc zorientowany w terenie, delegat Y.M.C.A. docierał nieraz do najdalej położonych Arbeitskommando, tam, gdzie rzadko zaglądał delegat M.C.K. Korzystając z dużej pomocy Y.M.C.A. na terenie obozów jeńców niemieckich, Niemcy nie czynili trudności pracownikom Y.M.C.A. w organizowaniu życia kulturalnego w obozach jeńców w Niemczech. Jeżeli jednak chodzi o Polaków, Y.M.C.A. nie była dopuszczana do wszystkich obozów jeńców, zwłaszcza w pierwszym okresie wojny.

Natomiast szeroką i niezmiernie owocną działalność rozwinęła Y.M.C.A. już w październiku 1940 roku na terenie Szwajcarii wśród obozów polskich internowanych. Opieka kulturalna nad internowanymi polskimi rozpadała się na następujące działy:

1/ Kursy początkowego nauczania.

1940/41 i 1941/43 - zorganizowano kursy w 20 obozach,
1942/43 - " " w 13 obozach
1943/44 - " " w 23 obozach.

Ogółem 700 żołnierzy polskich internowanych ukończyło te kursa i nauczyło się czytać i pisać.

2/ Zakres 7-mio klasowej szkoły powszechnej.

Kursy w zakresie 7-mio klasowej szkoły powszechnej ukończyło 287 żołnierzy polskich. Niezależnie od 2 centralnych kursów, prowadzone były kursy wieczorowe w obozach, na które uczęszczało 1.000 uczniów. Egzamin złożyło 464 uczni.

3/ Szkoła Rzemiosł.

W styczniu 1944 r. otwarta została Szkoła Rzemiosł Y.M.C.A. w Töss k.Winterthur, gdzie uczęszczało 137 uczni.

4/ Kursy różne:

Samochodowy, kreślarski, pisania na maszynie, praktyczne wyszkolenie rzemieślnicze, księgowość praktyczna, kursy języków obcych /160 kursów języków obcych na które uczęszczało 2.000 żołnierzy polskich/. Na uwagę zasługuje kurs dla lekarzy wojskowych, zorganizowany w maju 1944r. dla 21 lekarzy wojskowych.

5/ Kursy dla nauczycieli.

Pragnąc pozostawić metody nauczania i zakres jak najbardziej polski, Y.M.C.A. starała się wykształcić grono nauczycieli wśród samych internowanych i powierzyć im pracę nauczycielską w obozach. Kurs dla nauczycieli szkół powszechnych, otwarty w listopadzie 1942r., ukończyło 70 nauczycieli. Na specjalnych kursach kierowników oświatowych 2 DSP wykształcono do pracy w świetlicach 700 żołnierzy.

6/ Świetlice.

We wszystkich obozach internowanych zostały zorganizowane świetlice, zaopatrywane przez Y.M.C.A. w potrzebne materiały i sprzęt.

7/ Biblioteki.

Największą potrzebą w żołnierskich obozach internowanych była książka polska. Y.M.C.A. organizowała już w roku 1940 ruchome biblioteki, oraz starała się sprowadzać książki polskie ze Stanów Zjednoczonych i Polski okupowanej. Ilość książek polskich wynosi obecnie 4.056 tomów /w tym ok. 2.100 tomów uzyskała Y.M.C.A. z Poselstwa R.P. w Bernie/. Nie zapomniano też o grach i zabawach, o organizowaniu zawodów sportowych, o dostarczaniu piłek, siatek, rakiet, ping-ponga i t.d.

8/ Praca wydawnicza.

Kursy szkolne i rzemieślnicze wymagały dużej ilości podręczników polskich, których nie sposób było zakupić w Polsce okupowanej. Wobec tego Y.M.C.A. przystąpiła do wydawania potrzebnych książek i podręczników.

Nakład podręczników technicznych wyniósł.......... 11.741 t.
Nakład elementarzy i podręczników dla szkół elementarnych i powszechnych wyniósł.............. 12.326 t.

Te ostatnie opracowane zostały przez polskich internowanych. Niedługo zapewne nadejdzie chwila, kiedy przeszło 10.000 polskich internowanych powróci z obozów. Wielu żołnierzy stanie gotowych do pracy, jako wykwalifikowani rzemieślnicy, technicy, nauczyciele, pracownicy społeczni.-

Z.Leszczyc.

/"Światpol"/.

POMOC DLA POLAKÓW W NIEMCZECH.

"Dobrymi chęciami wybrukowano drogę do piekieł" - mówi mądre przysłowie. To też, gdy mamy co zrobić, komuś pomóc, nie wystarczy mówić: "Ostatnią koszulę bym oddał"! lub "Nie wiem co bym zrobiła"! Wcale nie potrzeba oddawać ostatniej koszuli i lepiej wiedzieć co się ma zrobić. Gdy zjawia się potrzeba, tak, jak teraz, kiedy dziesiątki i setki tysięcy Polaków w Niemczech czekają naszej pomocy, nie wolno nam powiedzieć "Chętnie bym pomógł, ale nic nie mam, wszystko rozdałem już dawno", albo -"Dałabym nawet parę funtów na składkę, gdybym wiedziała, że te pieniądze nie zginą gdzieś po drodze", albo jeszcze: "Uważam, że takiej pomocy nie można załatwić filantropią, że to trzeba oficjalnie, na większą skalę..." i t.d. Nie sądźmy, że te i im podobne uwagi dyktowane są naprawdę troską o dobro sprawy. Przeważnie wypływają one z lenistwa, z wygody, z niechęci do jakiegoś wysiłku i ofiary. Trzeba to przezwyciężyć za wszelką cenę. Jeśli komuś się zdaje, że nie może sobie pozwolić na danie kilku funtów na składkę, niech sobie przypomni jak łatwo, jak gładko przychodziło mu nieraz tyleż samo, albo i więcej wydać na rzeczy bynajmniej niekonieczne, na jeszcze jeden kostium, jeszcze jedną przegraną w bridża, jeszcze jedną kolację w restauracji. Albo, gdy nam się wydaje, że nic nie mamy do dania ze swoich rzeczy, lub, że wszystko co mamy jest nam niezbędnie potrzebne, zmuśmy się do zrobienia wielkich porządków, przejrzyjmy dokładnie szafy, szuflady, walizki. Nie ma wątpliwości, że coś się znajdzie, trochę bielizny, bluzka, sweter, jakieś drobiazgi, kołnierzyki, skarpetki. Można śmiało powiedzieć, że nie ma takiego domu, w którym by się trochę rzeczy przy dobrej woli nie znalazło. Możemy je uzupełnić drobiazgami, kupionymi za grosze a tak niezmiernie potrzebnymi. Kilka mydeł, rękawica do mycia, igły, agrafki, spinki do włosów, grzebień, nici i włóczka do cerowania, nożyczki - oto skarby bezcenne dla ludzi pozbawionych wszystkiego. Polki, które po uwolnieniu w Rosji dostawały ubrania,

opowiadały potem, jakie to były zmartwienia z brakiem przyborów krawieckich, co nieraz uniemożliwiało wogóle noszenie otrzymanych rzeczy. Pamiętajmy, że to co dajemy, to nie jałmużna, rzucana z łaski, lecz spełnianie podstawowego obowiązku wobec naszych bliskich. I pamiętajmy, że to tylko przypadek, że to nie my a inni są dziś w tak wielkiej potrzebie.-

S.Kossowska.

/"Światpol"/.

ARCYBISKUP BOMBAJU O OSIĄGNIĘCIACH OPIEKI NAD UCHODŹAMI.

W bombajskim "The Examiner" ukazał się artykuł arcybiskupa Bombaju, J.E.Ks.Robertsa p.t."Polish exiles in India".

Artykuł ten zasługuje na uwagę, ponieważ jest on wyrazem opinii naocznego i bezstronnego świadka, który zwiedził w towarzystwie przedstawiciela U.N.R.R.A. i polskich delegatów opieki i oświaty wszystkie ośrodki polskie w Indiach i dzieli się z czytelnikami wrażeniami z tego objazdu.

Największe osiedle polskie Kolhapur, określa ks.Roberts, jako miasteczko raczej, niż obóz, oddalone o kilka mil od miasta tej samej nazwy. Klimat jest tam łagodny podczas zimy, a chłodnymi nocami w czasie pory gorącej i umiarkowanym deszczem w ciągu 3-ch miesięcy w roku. Piękna okolica osiedla jest doskonałym miejscem pobytu dla polskich skautów i skautek, których organizacja, według opinii arcybiskupa, zbliżona jest bardziej do ideałów Badem Powell'a, niż jakakolwiek inna organizacja skautowa na świecie.

Na czele osiedla stoi polski komendant, któremu pomagają w pracy Komitety Obywatelskie. W osiedlu istnieje duża ilość najrozmaitszych instytucji wychowawczych, ogólno-kształcących i zawodowych, zwłaszcza rolniczych, mających za zadanie przygotowanie polskich obywateli do odbudowy nowej Polski.

Organizacja obozu opiera się na życiu rodzinnym: każda rodzina posiada małe mieszkanko, którego urządzenie jest tworzone wprost z niczego. Jak w każdym małym polskim miasteczku, sercem Kolhapur jest kościół. "Słyszałem, pisze arcybiskup, ludzi modlących się w najrozmaitszych językach, nigdy jednak jeszcze nie słyszałem ani w Europie, ani w Azji, tak powszechnej żarliwości, jak ta, która biła z modlitw i hymnów w kościele Św.Andrzeja Boboli w Kolhapur".

Ludność Kolhapur to głównie kobiety i dzieci. Mężczyźni, którzy tam mieszkają są to albo starcy, albo inwalidzi. Mężczyźni zdrowi i w sile wieku poszli do wojska, aby uratować dla Kraju to niewiele, co jeszcze zostało do uratowania. Wielu z nich w tej walce oddało swe życie.

Drugie skupienie uchodźców w Indiach, to Panchgani. Nazwa ta będzie błogosławiona przez wielu Polaków, czyni ono bowiem cuda w poprawie zdrowia tych, którzy ciężko znoszą klimat tropikalny po wszystkich cierpieniach, jakie przeszli w Syberii i w innych dzielnicach Rosji. Panchgani, jest położone na płaskowzgórzu o około 4.000 stóp nad poziomem morza i ma klimat doskonały. Tutaj przysyła się z innych ośrodków polskich w Indiach dzieci i dorosłych, wymagających kuracji. "Słów mi brak, pisze biskup Bombaju, aby opisać kontrast między tymi dziećmi, które zobaczyłem w Panchgani, a stanem, w jakim widziałem je natychmiast po ich przybyciu do Indii z wygnania rosyjskiego - ofiary rosyjskiego barbarzyństwa". Szereg dziewcząt przebywa w miejscowym Konwencie "The Daughters of the Cross", gdzie uczą się angielskiego i różnych rzemiosł. Dziewczęta te zasługują w pełni na macierzyńską troskliwość i opiekę, jaką darzą je siostry. Osiągnęły one już zdumiewająco dobre postępy w nauce, są niezmiernie pracowite. Prace ich, wykonane przy praktycznej nauce rzemiosła, ukażą się na rynku w Bombaju i z pewnością zdobędą sobie powszechne uznanie.

W Panchgani mieści się sanatorium, gdzie przebywają chorzy na gruźlicę.

Pierwszym osiedlem, jakie powstało dla dzieci polskich w Idniach było Jamnagar. Leży ono w pobliżu morza, z którego kąpieli dzieci korzystają przez większą część roku. Zwiedzając to osiedle

arcybiskup był niezmiernie wzruszony codzienną uroczystością poranną i wieczorną: zbiórką chłopców i dziewcząt, w czasie której odbywa się wspólna modlitwa i odśpiewanie hymnu państwowego, przy równoczesnym podniesieniu względnie opuszczeniu sztandaru Polski.

W Jamnagar panuje plaga komarów, roznoszących malarię. Obecnie odniesiono ogromne zwycięstwo w walce z malarią, która początkowo była dość groźna dla dzieci, które wyczerpane pobytem w Rosji, podatne były do wszelkich chorób.

Karachi stanowi obóz przejściowy i jest jedynym ośrodkiem polskim, prowadzonym bezpośrednio przez władze brytyjskie. Komendant obozu, przedstawiciel U.N.R.R.A., jest szczerze oddany Polakom, a cały swój wolny czas poświęca nauce języka polskiego.

Centrem polskiej administracji opieki jest Bombaj, gdzie mieszczą się Delegatury opieki i oświaty, Polski Czerwony Krzyż i przedstawiciel duchowieństwa polskiego.

Biskup Roberts poświęca wiele miejsca opisowi doskonale urządzonego polskiego szpitala w Bombaju, który powstał głównie z funduszów amerykańskich.

Wspominając o chłopcach polskich, szkolonych w wyższej szkole w Bombaju, oraz o szkolnictwie polskim w osiedlach, ks. Roberts kończy swój artykuł pięknym apelem o niesienie pomocy wysiedlonym z Kraju Polakom, przez udzielanie gościny dzieciom w domach angielskich oraz przez zbiórkę zabawek dla polskich dzieci.-

/Światpol"/.

RZĄDY "WYZWOLONYCH" NARODÓW.

Droga opanowywania "wyzwolonych" krajów Europy Środkowo-Wschodniej przez imperializm bolszewicki jest tak nieskomplikowana i oparta na doświadczeniach z końca ub.wojny, że aż zadziwia brak zmian w taktyce Kremla.

We wszystkich krajach zaczyna się od Kiereńszczyzny. Najlepszym w tym względzie przykładem jest Rumunia. Pierwszym premierem po wyjściu Rumunii z szeregu wasali niemieckich jest p.Sanatesco, któremu wydaje się, że będzie mógł coś uratować. Pierwszy jego gabinet nie jest długotrwały, a do drugiego wchodzi wicepremier, przywódca frontu narodowo-demokratycznego - taką bowiem nazwę przyjęli agenci sowieccy - dr.Grozea. Dr.Grozea wywraca ten gabinet, jak i następcy gen.Radesco. W tym czasie zjawia się w Bukareszcie wicekomisarz spraw zagranicznych, towarzysz Wyszyński, celem dopilnowania wykonania warunków zawieszenia broni. Dopilnowuje w ten sposób, że premierem zostaje Grozea. W krótkim czasie zostają usunięte z jego gabinetu kamuflażowe figury bolszewickie.

W Jugosławji odpowiednikiem pierwszego gabinetu rumuńskiego Sanatescu jest uchodźczy jeszcze, ale prowadzący już perktraktacje z Titem gabinet Subasića. Obecnie jest tam ta sama sytuacja co w Rumunii. Na czele rządu stanął sam "marszałek" Tito. Rozwój sytuacji łatwo przewidzieć.

Z Bułgarii wiadomości nadchodzą skąpo. Wiadomo, że w wyniku terroru i niszczenia gospodarczego chłopi uciekają w góry, gdzie tworzą bandy nowoczesnych komitadżi. Sekretarz partii agrarnej, jeden ze współpracowników Stambolijskiego - Dymitrow /nie mieszać z członkiem kominternu/, człowiek skazany przez Niemców i bułgarskie rządy proniemieckie na śmierć, i który od 1941r. przebywał na uchodźtwie na Zachodzie, jest już ogłoszony za faszystę i wspólnika Hitlera. Międzyaliancka komisja zawieszenia broni niewiele wie, co się dzieje poza Sofią. Bowiem członkowie tej komisji, oczywiście za wyjątkiem strony sowieckiej, otrzymali od wojskowych władz sowieckich prawo poruszania się tylko w obrębie 3 /trzech/ kilometrów od Sofii, czyli co najwyżej po przedmieściach.

Na Węgrzech działa rząd gen.Miklosza, znanego patrioty węgierskiego, który również chce "ratować co się da". Po "wyzwoleniu" całych Węgier, doczekamy się niechybnie zastąpienia gen. Miklosza przez nowe wydanie Beli Kuhna.

Członkowie rządu czeskiego z Londynu wyjechali do Moskwy, celem przeprowadzenia rozmów w sprawie utworzenia nowego gabinetu.

Ale o dziwo nie wyjechali jako ministrowie, ale w charakterze przywódców poszczególnych stronnictw politycznych. Z rozmów tych ma powstać nowy gabinet z udziałem komunistów. Być może na czele niego stanie w dalszym ciągu Msgr Szramek, może inny polityk niekomunistyczny, ale jako przedstawiciel komunistów wejdzie zapewne m.in. prof. Nejedly od lat przebywający w Moskwie. Nie on jednak będzie następnym premierem. Stary już profesor muzykologii na Uniwersytecie Karola w Pradze nie nadaje się do "mokrej roboty". Znajdzie się do tego ktoś inny.

We wszystkich więc krajach sytuacja rozwija się na tę samą modłę. Wszędzie zaczyna się od polityki "ratowania", a kończy opanowywaniem władzy przez ludzi, otrzymujących instrukcje nie od własnego narodu, ale za to uznawanych przez Kremlin za rządy przyjazne dla Rosji, do których ma ona zaufanie.

Ostateczna konsekwencja jest prosta. Po pewnym, krótszym lub dłuższym okresie czasu, parlamenty poszczególnych krajów, wybrane według wszelkich prawideł demokracji, pojmowanej na sposób sowiecki, pod nadzorem NKWD uchwalą "jednomyślnie" prośbę o przyjęcie do szczęśliwej rodziny narodów Związku Sowieckiego. Może odbędzie się to nawet w drodze plebiscytów. Z doświadczeń niedawnej przeszłości wiemy, że plebiscyty takie dają około 99 % głosów za. Były nawet miejscowości, gdzie padało 105 % głosów, proszących o to szczęście. Fakt, że przed takim plebiscytem wysyła się ewentualnych opornych w podróż - niezupełnie turystyczną - na Sybir dzisiaj się nie liczy.

Ze wszystkich krajów wymienionych powyżej oraz z jednego, którego nie wymieniliśmy, wywozi się zresztą już obecnie - prewencyjnie. W niektórych zaś wolnych parlamentach świata mówi się tymczasem, że wiadomości tych nie można sprawdzić.-

tkw.

/"Światpol"/.

- CO BĘDZIE JUTRO ?

W nastroju powagi i troski upłynęły dni określone przez premiera W.Brytanii jako Victory in Europe / VE - Day /. Anglia wkroczyła w okres pokoju w przekonaniu, że nie jest to ten pokój, o jakim myślała. Nietylko dlatego, że wojna z Japonią przedstawia się jako rzecz poważna, że może zaciągnąć się na wiele miesięcy i że wymagać będzie sporego wysiłku - ale głównie dlatego, że nie widać istotnych podstaw pokoju w Europie.

Dla opinii angielskiej jest dzisiaj rzeczą jasną, że różnice poglądów między pojęciami Zachodu i Wschodu są poważne. Że pewne zasady, jakie obowiązują jeszcze na Zachodzie, nie mają tego samego kursu na Wschodzie. Że nie znaleziono wspólnego języka i że pewne znaki umowne nie są jednakowo rozumiane przez mocarstwa sojusznicze. Że między zachodnim systemem myślenia i rządzenia, a wschodnim systemem myślenia i rządzenia istnieją podstawowe różnice, które wychodzą na jaw przy każdej okazji.

W.Brytania zrobiła wszystko, aby różnice te wyrównać. Nie tylko przez swój wkład do wojny, ale również przez poważne a stałe, cierpliwe wysiłki natury politycznej. Do tego dołączyły się starania prasy i organów opinii publicznej. Postanowiono za wszelką cenę dokonać zbliżenia ze światem Wschodu i wysiłki brytyjskie w tej mierze są doprawdy godne podziwu. Śmiało można powiedzieć, że tylko dwa razy w dziejach Anglii nowożytnej oglądano tak poważny wysiłek, ażeby zmontować i utrzymać alians: po raz pierwszy po r.1907, kiedy powstała entente cordiale z Francją i obecnie, kiedy powołano do życia przymierze z Rosją.

Realistyczna, ale pełna najlepszej woli, opinia brytyjska dochodzi do wniosku, że jednak próby te nie dały spodziewanych wyników. Zatypuje się zatem, czy wina leżała po stronie Anglii, czy też raczej w pewnych myślowych założeniach, w pewnej postawie nadmiernego optymizmu i obawy nazwania rzeczy po imieniu, unikania rzeczywistości - słowem w tym, co się zwie powszechnie w tym kraju "wishful thinking". Opinia brytyjska bada swoje sumienie i dochodzi do wniosku, że zrobiono chyba wszystko, ażeby rozproszyć podejrzenia i ażeby stworzyć podstawy szerokiego porozumienia. A zatem - wina leży

raczej w sferze tego, co określa się mianem "wishful thinking".
Mamy dzisiaj do czynienia z procesem rozczarowania co do stworzonego mitu wschodniego. Rozczarowanie to przybiera formy łagodniejsze albo ostrzejsze zależnie od temperamentu danego środowiska, czy pisma. Ale rozczarowanie to jest widoczne w społeczeństwie brytyjskim. Rozczarowaniu temu towarzyszy troska. Troska o to, jak się przedstawiać będzie przyszłość Europy: czy Europa będzie przepołowiona murem chińskim, czy też wolna ? Czy też będzie ona podzielona na strefy, a zatem zamknięta dla swobodnego obiegu, nie tylko handlowego i gospodarczego, ale i myślowego ?
Oto pytania, które ważą się w powietrzu Anglii na początku lata r.1945-go, roku brzemiennego w zwycięstwo nad Niemcami i w niepewność co do jutra Europy.-

Zbigniew Grabowski.

/"Świątpol"/.

NARÓD NA WYGNANIU.

Kiedy w roku 1941-szym Rosja stała się krajem sprzymierzonym, gdy zaatakowana chwyciła za broń, stanęliśmy przed radosną nadzieją uwolnienia ponad miliona obywateli polskich z więzień, obozów i zesłań syberyjskich. Uratowała się jedynie niewielka część tych ludzi. część znikoma w stosunku do całości, lecz i to było za wiele. Z tej części zrekrutowano potem żołnierza, który wyzwalał Włochy, zdobywał Monte Cassino, Anconę, Bolonię. Ówczesny Rząd Polski, pod przewodnictwem generała Sikorskiego przeciwstawiał przeciwnikom paktu polsko-rosyjskiego,jako argument konieczność ratowania zesłańców. W rezultacie zesłańców uratowano niewielu, a skutki lekkomyślnego pośpiechu podpisania paktu odczuwa się do dzisiaj. Potem w roku 1944-tym i 1945-tym znowu mieliśmy dopływ świeżej krwi. Tym razem szedł on z kierunku przeciwnego, ze strony Niemiec. Do Szkocji napływać poczęli ludzie wcieleni przemocą do niemieckiej armii,ludzie z Poznańskiego i Pomorza, chłopcy z Warszawy. Pomnożyły się szeregi oddziałów polskich w Szkocji i szeregi walczącej Dywizji Pancernej. A w chwili, gdy na świecie dzwony uderzyły na zupełne zwycięstwo ,odzyskali wolność jeszcze inni Polacy - jeńcy i robotnicy, kobiety, mężczyźni i dzieci polskie, wywiezione z Kraju na roboty, więzione, eksploatowane, głodne. I ten trzeci etap dopływu świeżych sił do polskich emigrantów wojennych jest etapem najważniejszym, etapem, który zmienia niewątpliwie charakter istnienia naszego, zmienia naszą nazwę. Z emigracji przemieniamy się w naród na wygnaniu. Tak bowiem dzisiaj musimy do zagadnienia polskiego podchodzić.
Ci Polacy w Niemczech, o których już tak wiele pisano i mówiono, to miniaturowe społeczeństwo polskie, ze wszystkimi swymi wadami i zaletami, ze wszystkimi klasami ,narodowościami i religiami. Ponad milion ludzi odnaleziono dotychczas jedynie po stronie zajętej przez wojska zachodnie ! Ponad milion ludzi oderwanych od swych domów, zagubionych w chaosie europejskim, bez środków, bez zdrowia, bez nadziei na przyszłość! Są tam i jeńcy wojenni - wrześniowcy, ludzie, którzy swe lata najlepsze spędzili w obozach, którzy przez pięć i pół roku, siedząc za drutami, mając jako swą towarzyszkę książkę i naukę, zatracili w znacznej mierze kontakt bezpośredni ze światem zewnętrznym, zatracili bezstronną ocenę wypadków - po prostu dlatego, że o ich prawdziwym biegu nie wiedzieli, i żyją dzisiaj na wolności tak samo niemal, jak żyli w niewoli: patrzą na otaczające ich zjawiska i na otaczających ich ludzi oczami więźnia, któremu przez całe lata wyobraźnia zastępowała rzeczywistość. Są tam jeńcy-powstańcy, wzięci do niewoli po upadku Warszawy, element ideowo kryształowo czysty, świadomy celu, świadomy drogi, jaka może ich wrócić do Polski. Jest wreszcie cała rzesza dziewcząt i kobiet, żołnierzy Armii Krajowej, które w obozie,otwartym i uwolnionym, czekają podobnie jak tamci, realnego dowodu opieki nad nimi i zajęcia się ich losem. Ogromna część tych kobiet-żołnierzy, to młode dziewczyny, poniżej lat dwudziestu, albo niewiele powyżej, którym nie danym było dokończyć szkół średnich, czy wyższych, i których marzeniem jest doprowadzenie do końca nauki, dojście do tego pierwszego stopnia życiowej kariery, jaką w Polsce dawała matura. Są tam wreszcie - ci najlicz-

niejsi - wysiedleńcy cywilni, rozrzuceni po obozach istniejących w całej Rzeszy,jak długa i szeroka. Los tych osób jest smutniejszy nawet niż los wojskowych, gdyż trudniej im do nich dotrzeć z pomocą i trudniej im wytłomaczyć, że względy "wielkiej polityki" zmuszają naszych anglosaskich sprzymierzeńców do ograniczeń i zakazów, niezrozumiałych w strosunku do strony sojuszniczej.

Ci wszyscy ludzie w otwartych już i oswobodzonych obozach oczekują dzisiaj konkretnej pomocy, przeżyli momenty bardzo ciężkie, lecz przeżyli także moment wielkiej radości. Była nim chwila wyswobodzenia. Byli tacy, do których bram zapukali polscy żołnierze, byli inni, których wyzwolili Anglicy, Szkoci czy Amerykanie. Wszyscy oni jednak,oczekując na ten moment przez długie lata, nie sięgali w swych planach i myślach poza niego, nie zastanawiali się nad prostym pytaniem - co potem ? Zostawili to nam, ludziom pracującym na wolności, w doskonałych warunkach, przy wielkich możliwościach. Słyszałem w Niemczech głosy uspakajania niecierpliwych, pocieszania pesymistów, że jest wszak Rząd Polski, polskie władze, Polonia Amerykańska, że te wszystkie czynniki myślą o tym, o czym ani myśleć, ani decydować nie mógł i nie może uwolniony jeniec, robotnik, lub uciekinier. Zaufanie do polskiego wojska, do władz państwowych wyrosło bardzo wysoko. Dzisiaj jest moment, by to zaufanie zdyskontować, by tym zgubionym i nieszczęśliwym ludziom przywrócić utracone życie, by dać im możność pracy, poczucie przydatności społecznej. Otworzyć obozy, przerzucić ich mieszkańców na nowe tereny, dać im własny samorząd, komórki informacyjne, gazety, książki. Tego wszystkiego dotychczas jeszcze brak. Ludzie, którzy przeszli lata niewoli i poniewierki z zaciśniętymi ustami, dzisiaj zaczynają się skarżyć, zaczynają się łamać. Bowiem jedynie jeńcy-Polacy, jedynie polscy wysiedleńcy nie mają przed sobą jutra. Ich współtowarzysze innych narodowości już jadą do domów. Polacy nie. Bowiem w ich domu panuje inne niewola, panuje ucisk, bowiem im do domu zagrodziło wstęp NKWD,pospołu z policją lubelską. Im - którzy od pierwszej chwili walczyli z Niemcami, którzy przez społeczeństwo polskie uważani są za najlepszych synów i obywateli. Powstał więc naród na wygnaniu. Chyba po raz pierwszy w historii.

Braki niestety w pierwszym okresie być muszą. Gdy po dokonaniu inwazji powstawały projekty opieki nad Polakami w Niemczech, gdy mówiło się o planach co do zabezpieczenia ich przyszłości, ówczesny rząd pod przewodnictwem Mikołajczyka, przewidując bezwarunkowy powrót do Polski, odrzucił te projekty. Stąd zaskoczenie, stąd brak kredytów, stąd brak organizacji. A problem jest tak wielki, zagadnienie tak obszerne, że nie sposób w miesiące naprawić tego,co zaniedbano przez lata. Stąd dzisiaj w terenie żołnierz i cywil jednakowo płacić muszą własną niewygodą, własnym głodem i chłodem za zaniedbania innych. Opieka przeto nad nimi, materialna i duchowa, to zadanie najbliższe dla wszystkich wolnych Polaków, dla wszystkich ludzi myślących po polsku. Nie jest to bowiem zagadnienie licznej czy mniej licznej emigracji, zagadnienie uratowania setek czy tysięcy ludzi. Problem urósł znacznie szerzej - zwycięstwo sprzymierzonych w Europie dało Rządowi Polskiemu możność ratowania narodu znalezionego na wygnaniu. I tę wielką szansę, wielkie szczęście wśród tylu nieszczęść, jakie na nas spadają, Rząd Polski uchwycił, podjął - i nie porzuci.

Ważną jest oczywiście pomoc materialna dla tych najnieszczęśliwszych z obozów koncentracyjnych i ze specjalnie ciężkich obozów jenieckich. Lecz znacznie bardziej paląca jest sprawa ratowania ich dusz, sprawa pokarmu ideowego, informacji, dania elementów do decyzji, do myślenia. Niektóre obozy do dzisiejszego dnia nie widziały polskiej gazety, polskiej książki, nie mają radia, rozrywki, nie mają poczty, ani papieru listowego, brak im piór, brak wszystkiego... Odcięci od świata przez Niemców, czekają oni na przywrócenie z tym światem łączności. To zaś można zrobić tylko dobrą wolą Polaków. Zajęci zagadnieniem okupacji Niemiec, repatryjacji cudzoziemców i częściową demobilizacją wojska, Alianci nie są w stanie zajmować się specjalnie pomocą Polakom w Niemczech, jakkolwiek wysoce by ich cenili i podziwiali ich poświęcenie i wkład do ogólnego wysiłku wojennego.

Nadewszystko zaś Polonia Amerykańska winna pracować usilnie na swym terenie, w kierunku przekonania amerykańskiej opinii publicznej i władz państwowych, że najmniejszą nagrodą za poniesione straty i za

wspólny wkład Polski do wojny, byłoby zezwolenie na osiedlenie się w Ameryce i na życie w kraju wolnym i demokratycznym przynajmniej części tych nieszczęśliwych z Niemiec, tak długo, aż wolność gniecona kolejno przez dwa totalizmy, nie wróci napowrót do zrujnowanej Warszawy, do zrusyfikowanego Lwowa i Wilna, do sprofanowanego Lublina.

Bowiem Polacy w Niemczech patrzą na zachód, w kierunku Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, tak, jak się patrzy na Ziemię Obiecaną. Widzą bowiem TYLKO TAM wolność.-

Zygmunt Nagórski jr.